

O KARACH ŚMIERCI w latach 1944–1956

**Z KRZYSZTOFEM SZWAGRZYKIEM I JANEM ŻARYNEM
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Chciałabym, byśmy rozpoczęli od umiejscowienia, fenomenu, którym było polskie orzecznictwo karne po 1944 r., w systemie prawnym ówczesnego okresu, w odniesieniu do II Rzeczypospolitej, i – może do sądów wojennych? Wydaje mi się, że to, co się działo w polskim sądownictwie (nie mówmy tu o Związku Radzieckim), jest jakimś zatrważającym ewenementem w historii prawa. Każą tak myśleć zarówno tryb orzekania kar, jak i liczba wydanych wyroków śmierci. A były to czasy pokoju, bo czas wojny należy z naszych rozważań wyłączyć, jako czas szczególny.

J.Ż. – W pani pytaniu jest bardzo wiele wątków, które można by rozwijać. Faktem jest, że w okresie powojennym, począwszy od 1944 r., na ziemiach polskich mamy do czynienia z prawem rewolucyjnym. Sam PKWN, jak słusznie pisał Tadeusz Żenczykowski, powstał między innymi z doświadczenia 1920 r. Dokonano jednocześnie zamachu stanu wobec legalnych, choć podziemnych, władz Polskiego Państwa Podziemnego, który był realizowany przez obce mocarstwo. To ostatnie miało być wzorcem i nauczycielem dla komunistów zawdzięczających Moskwie swoje wyniesienie do władzy. Przypomnę, że zamordowani w Katyniu, Twerze i w Charkowie oraz w wielu innych zapewne miejscach oficerowie polscy według prawa sowieckiego zostali najpierw osądzeni i skazani – na karę śmierci. Tylko że zgodnie z notatką z 5 marca 1940 r. wystaną przez Berię do Stalina, oskarżeni nigdy nie dowiedzieli się o tym, że był jakiś sąd, nie poznali nigdy zarzutów, a o wyroku usłyszeli, gdy stali nad dołem katyńskim. To prawo oraz instytucje sądowe, wówczas powołane, w tym dekrety z lat 1944–1945, o których będziemy jeszcze mówili, miały pomóc w rozprawieniu się ze społeczeństwem, którego elity należało zniszczyć, a resztę zastraszyć i zniechęcić do oporu, w imię wybranych celów. Taka jest mniej więcej definicja zadań orzecznictwa sądowego, skierowanych głównie do sędziów wojskowych.

B.P. – Jest to proste odniesienie do rewolucji, przede wszystkim francuskiej.

J.Ż. – Nie ma prostych odniesień, ale coś w tym jest. Musiano zmierzyć się z problemem ciągłości prawnej i instytucjonalnej, z II Rzeczypospolitą. Nie znaczy to, że zupełnie zerwano z jej dziedzictwem. Próbowano z jednej strony rozumieć po leninowsku prawo jako narzędzie rewolucji,

a nie jako instrument do mierzenia sprawiedliwości, a z drugiej strony starano się, w imię legitymizacji władzy, kontynuować pewne przedwojenne rozwiązania, nie tylko w sferze ceremoniału. Na przykład do przedwojennego Kodeksu Karnego Wojska Polskiego z 1932 r. dopisano kolejne artykuły, zmieniające faktycznie sens całości. Jakobini podczas rewolucji francuskiej mieli w pewnym sensie podobny dylemat. Była to formacja rewolucyjna, która zamierzała ustanowić nowego człowieka, nowy typ państwa i stworzyć nowy katalog wartości (w świątyniach miał być obecny Rozum), chciała się widzieć jako jedyny depozytariusz postępowej tradycji francuskiej. Z rewolucyjnej historii Francji nie zamierzano wyrzucić Monteskiusza, mimo że był urzędnikiem królewskim i dzięki temu szlachcicem (*noblesse de robe*). W systemie prawnym początków PRL jest zatem zawarta wewnętrzna sprzeczność.

B.P. – Z tego, co pan mówi, w sposób jasny wynika, że w instytucjonalnym wymiarze sprawiedliwości kara śmierci była narzędziem służącym władzy.

J.Ż. – Była formą represji sądowej, którą umieszczam w jednym szeregu z innymi: działaniami NKWD, UB czy KBW, które posługując się właściwymi dla siebie narzędziami zbrodni (w tym organizowanie zasadzek, prowokacji, stosowanie tortur i mordów, aresztowania i zakładanie obozów), dążyły do tego samego celu.

K.S. – Szukanie analogii pomiędzy ustawodawstwem komunistycznym, specjalnym, powojennym, a jakimkolwiek ustawodawstwem Polski przedwrześniowej czy też okresu po 1956 r. wydaje mi się zupełnie bezcelowe. Dlaczego? Dlatego że czasów, o których mówimy, nie da się porównać z żadnym innym okresem. Zgadzam się z twierdzeniem, że komuniści wykazywali wyjątkową dbałość – przynajmniej w tym początkowym okresie – o zachowanie pewnych elementów, które by ich uwiarygodniały w oczach społeczeństwa. Nie chodzi tutaj tylko o nieco sztuczne naśladowanie przedwojennego ceremoniału związanego z funkcjonowaniem państwa, na przykład sposobu, w jaki przez pewien czas organizowano defilady wojskowe, czy też okoliczności zaprzysiężenia Bolesława Bieruta na prezydenta Polski w 1947 r. Znacznie istotniejszy był bowiem, skądinąd doskonale wprowadzony w życie, zabieg polegający na stopniowej modyfikacji przedwojennego prawa w kierunku korzystnym dla nowej władzy. Czyniono usilne starania, aby sędzia orzekający w ludowym już sądzie był postrzegany jako kontynuator przedwojennego polskiego wymiaru sprawiedliwości. Zwróćmy uwagę na pewien bardzo interesujący i wymowny zarazem szczegół działań, o których mówię; jeszcze w 1947 r. podczas głośnego procesu krakowskiego Franciszka Niepokólczyckiego i innych sędziowie wojskowi zasiadali za stołem z krucyfiksem.



J.Ż. – To bardzo ważny element. Biorąc pod uwagę, że tego typu procesy były bardzo nagłośnione, a zdjęcia z nich znalazły się w wielu polskich i nie tylko zresztą polskich gazetach – można powiedzieć, że komuniści uzyskiwali pożądany skutek propagandowy. Nie wszystkich stać było intelektualnie, by wątpić w praworządność państwa, skoro wszystkie atrybuty sądownictwa skutecznie przysłaniały bolszewicką treść. Oczywiście im dalej od wojny, tym ta dbałość o zachowanie pozorów ciągłości państwa jest coraz mniej widoczna. Po 1948 r. nie ma już zorganizowanego, mocnego podziemia antykomunistycznego. Zostało przez komunistów skutecznie rozbite. Nie ma legalnych partii opozycyjnych. Przyszedł czas na rozprawę z Kościołem. Władze posiadały już skuteczniejsze i atrakcyjniejsze dla części społeczeństwa argumenty legitymizujące ich władzę, na przykład awans społeczny.

B.P. – Mówi się często o tym, że prawodawstwo polskie tego okresu zostało skażone nawet nie ideą, ale tym, że pracownikami wymiaru sprawiedliwości byli ludzie niekompetentni, że prokuratorzy, sędziowie nie mieli wykształcenia prawniczego, że byli z szybkich nominacji.

K.S. – Przeczyta pani dość powszechną opinię o komunistycznych kadrach tak zwanego wymiaru sprawiedliwości, opinię niestety nie do końca prawdziwą. Jest to jeden z mitów, dość popularny w środowiskach kombatanckich. Chciałbym zwrócić uwagę tylko na jeden aspekt tego zagadnienia – okoliczności uchwalenia przez komunistów w krótkim czasie (lata 1944–1946) najważniejszych i najsurowszych zarazem aktów prawnych służących następnie do walki z rzeczywistym czy też urojonym przeciwnikiem politycznym w kraju. Wspomnijmy tylko niektóre z nich: *Dekret PKWN z 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy...*, *Kodeks Karny Wojska Polskiego z 23 września 1944 r.*, *Dekret o ochronie Państwa z 30 października 1944 r.*, *Dekret z 16 listopada 1945 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa*, zmodyfikowany 13 czerwca 1946 r. czy *Dekret z 22 stycznia 1946 r. o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszycację życia państwowego*. Kodyfikacji prawa, szczególnie tam, gdzie w grę wchodziło dostosowanie przedwojennych uregulowań do potrzeb nowej władzy, ze zrozumiałych względów nie mogli przeprowadzić ludzie prości, niewykształceni. Warto może przypomnieć także o dekreście z 22 lutego 1946 r. mówiącym o rejestracji i przymusowym zatrudnieniu we władzach wymiaru sprawiedliwości osób mających kwalifikacje do objęcia stanowiska sędziowskiego. Dekret ten nakazywał byłym pracownikom zarejestrowanie się w najbliższym sądzie grodzkim w ciągu miesiąca od daty opublikowania dekretu. Niezastosowanie się do poleceń zawartych w dekreście było zagrożone karą roku więzienia.

Nr. 1-49/48

PROTOKÓŁ
WYKONANIA WYROKU ŚMIERCI

Warszawa, dnia 10 marca 1948 r. Prokurator Rejonowej Prokuratury Wojskowej ppłk. Czesław Szpedrowski w wykonaniu prawomocnego wyroku wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia 17 stycznia 1948 r., zatwierdzonego postanowieniem Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 26 lutego 1948 r. i wobec nieskorzystania z prawa łaski przez Prezydenta N.P. - na zasadzie art. 314 i 315 K.W.P.K. zgłosił się do wykonania na Mokotowie w Warszawie o godz. 15.15... w obecności:

- 1/ Kancelarza więzienniczy - kpt. Grabickiego Alojzego
- 2/ Lekarza - *dr. J. Jankowski*
- 3/ Duchownego - ks. *Rudolf Marszałek*

za pośrednictwem B-cy plutonu egzekucyjnego *pluton P.* po odczytaniu sentencji wyroku Nr. 1427/48 skazanemu **MARSZAŁKOWI** Rudolfowi s. Jana i Teresy z Paschowskich i po stwierdzeniu prawomocności tego wyroku oraz ogłoszeniu, że Prezydent N.P. z prawa łaski nie skorzystał - powyższy wyrok wykonał względem **MARSZAŁKA** Rudolfa s. Jana i Teresy z Paschowskich, ur. 29 sierpnia 1911 r. w Koszowicach, pow. Biela-przez rozstrzelanie



Wzaga w/w karezełka został stwierdzony przez lekarza.

Prokurator .. *[Signature]* ..
 Duchowny .. *[Signature]* ..
 Lekarz .. *[Signature]* ..
 B-ca plutonu egzekucyjnego .. *[Signature]* ..
 Kancelarz więzienniczy .. *[Signature]* ..

Ks. Rudolf Marszałek – skazany na śmierć kapelan Brygady Świętokrzyskiej NSZ w Monachium oraz oddziału NSZ Henryka Flamego „Bartka”



B.P. – Czy byli sędziowie rzeczywiście usłuchali?

J.Ż. – Tak. Do 1948 r. sądownictwo powszechne było obsługiwane w dużej mierze przez sędziów przedwojennych. Również specjalny sąd karny, który był powołany do realizacji tak zwanej sierpniówki, czyli dekrety z 31 sierpnia 1944 r. Ze swoją wiedzą i doświadczeniem bardzo dobrze odgrywali nadane im role. Na przykład proces bpa Karola M. Spletta ze stycznia 1946 r. był prowadzony wzorowo, jedynie wysoki wyrok – 12 lat pozbawienia wolności – budził w niektórych kręgach, głównie kościelnych, mocny sprzeciw. Wiele dekretów i rozporządzeń, w tym odnoszących się do sądownictwa wojskowego, tworzyły przedwojenne kadry prawników. A w sądownictwie wojskowym też pracowali ludzie kompetentni, chociaż w nieco innym sensie: Sowieci i sprawdzeni Polacy, sprawdzeni w tym rewolucyjnym znaczeniu. Ważnym momentem dla rozważań o karach śmierci orzeczonych przez sądownictwo powojenne jest utworzenie w styczniu 1946 r. Wojskowych Sądów Rejonowych, które przejęły kompetencje nie tylko dotychczasowych sądów wojskowych ustanowionych na różnych szczeblach dowodzenia (dywizyjne, korpusowe). Miały one także prawo sądenia ludności cywilnej w sprawach politycznych, w tym z oskarżenia o szpiegostwo. Definicja tego ostatniego pojęcia będzie się zmieniać wraz ze zmieniającą się definicją wroga. Ironizując nieco: w 1945 r. nie było jeszcze szpiegów Watykanu, czyli biskupów członków Episkopatu Polski, pojawili się oni dopiero w 1950 r. W taki prosty, ale skuteczny sposób udało się przesunąć prawo do sądenia wrogów politycznych spod kompetencji sądownictwa powszechnego na rzecz sprawdzonych rewolucjonistów, wychowanych na prawie sowieckim, lub sędziów, których było można sprawniej zdyscyplinować.

K.S. – W 1945 r. komuniści mieli już w swoich rękach najważniejsze akty prawne gwarantujące im skuteczne sprawowanie władzy oraz możliwość skutecznej rozprawy z przeciwnikiem politycznym, domniemanym czy rzeczywistym. Okazało się jednak, że mimo posiadania tak skutecznych narzędzi represji karnej nowa władza nie była do końca usatysfakcjonowana sposobami, a może przede wszystkim skutkami działania wymiaru sprawiedliwości. W styczniu 1946 r. zdecydowano o konieczności powołania Wojskowych Sądów Rejonowych. Istniejące w latach 1946–1955 w siedemnastu miastach wojewódzkich sądy te sprawowały swoją władzę nie tylko wobec żołnierzy, funkcjonariuszy UB, MO i służby więziennej, ale także w stosunku do osób cywilnych, oskarżonych o popełnienie przestępstw przewidzianych w art. 85–88 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego oraz rozdziału 1 dekretu *O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa*. Wyposażone w wiele niezwykle represyjnych przepisów prawnych stosowanych przez dyspozycyjnych sędziów w mundurach – w krótkim czasie WSR-y stały się skutecznym orężem walki w umacnianiu nowej władzy. W ciągu dziesięć-

ciu lat istnienia orzekły między innymi około 3,5 tys. kar śmierci, w większości wykonanych. Pracowali w nich sędziowie może nie tyle ideowi, ile dyspozycyjni i posłuszni odgórnym nakazom. Problemem drugorzędnym, który mógłby stanowić przedmiot odrębnej dyskusji, była przyczyna ich dyspozycyjności. Umieszczeni w trybach wojskowego, ściśle zhierarchizowanego układu podległości, działali w ramach narzuconych im zasad, których być może nawet niekiedy nie akceptowali. Wystarczyło bowiem na stanowiskach kierowniczych w poszczególnych sądach, nie tylko zresztą wojskowych, postawić odpowiednio dobranych i ideologicznie sprawdzonych ludzi, aby mieć pewność, że na danym terenie polityka karna będzie przebiegała zgodnie z oczekiwaniami partii i rządu.

Ze zrozumiałych względów aż do przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych komuniści zmuszeni byli opierać się na przedwojennych sędziach, prokuratorach i adwokatach. Nie dysponowali bowiem jeszcze wówczas własną kadrą, wykształconą już w nowym duchu ideologicznym. Jeśli prześledzić kariery poszczególnych sędziów i prokuratorów z lat 1944–1948, to okaże się, że sędownictwo i prokuraturę wojskową w Polsce tego okresu w przytaczającej większości tworzyli i reprezentowali przedwojenni polscy sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, absolwenci renomowanych polskich uczelni, głównie Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Warszawskiego. Do pomocy przydzielono im oficerów sowieckich o polskich nazwiskach, o polskich korzeniach. Ci z kolei byli ludźmi ukształtowanymi w sowieckim systemie politycznym, zupełnie wynarodowionymi, często bardzo nieporadnie postępującymi się językiem polskim, by wspomnieć tylko Aleksandra Michniewicza, Jana Mastalera, Aleksandra Tarnowskiego, Wilhelma Światkowskiego, Aleksandra Tomaszewskiego, Mariana Osowskiego. Struktura podległości wojskowej ułatwiała rygorystyczne egzekwowanie od sędziów orzekania w sposób oczekiwany i zalecany przez partyjnych decydentów.

J.Ż. – A jednocześnie istnieje od października 1944 r. tworzące się Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, które *de facto* przejęło także funkcje przedwojennego sędziego śledczego, czyli wzięło w swoje ręce przygotowanie śledztwa aż do etapu sformułowania aktu oskarżenia. To oficer MBP decydował faktycznie o czasie pozostania aresztanta w więzieniu śledczym. Istniała wprawdzie prokuratura, która w praktyce operacyjnej podlegała zapotrzebowaniom oficerów śledczych. I w ten sposób funkcjonuje druga struktura opanowana od początku przez partię komunistyczną – MBP, w którym współczynnik upartyjnienia wynosił ponad 90 proc. (na początku zastępcą Stanisława Radkiewicza był polityk koncesjonowanej PPS, ale bardzo szybko został stamtąd usunięty).

B.P. – Można zatem mówić o zswietyzowaniu wymiaru sprawiedliwości?

J.Ż. – Wojskowego na pewno tak. Od momentu aresztowania po wyrok, wszystko było w całości kontrolowane przez PPR i później przez PZPR. Taki mechanizm tworzył terror. Najlepszym dowodem potwierdzającym to zdanie jest lektura protokołów Biura Politycznego KC PPR i PZPR, w których odnajdziemy decyzje podejmowane w sprawie konkretnych procesów sądowych. Decydowano, który z prokuratorów ma prowadzić przed sądem sprawę na przykład Kazimierza Pużaka i towarzyszy, kiedy ma się rozpocząć proces na przykład Adama Doboszyńskiego, czy zatwierdzić wyrok śmierci, czy Bierut ma skorzystać z prawa łaski, co znajdowało się w jego kompetencjach jako głowy państwa, a nie członka Biura Politycznego. Wydaje mi się, że pełna kontrola partii nad sądownictwem powszechnym nastąpiła dopiero od 1949 r.

B.P. – **Instytucjonalne przymuszanie do wykonywania zawodu w sytuacji niezgody moralnej powinno budzić głęboki sprzeciw prawników przedwojennych. Czy są znane przypadki, że sędziowie, którzy zostali zmuszeni do wykonywania zawodu, odchodzili z tej pracy, uciekali, odmawiali wykonywania zawodu?**

K.S. – Znane są oczywiście przykłady zachowań świadczących o konfliktach moralnych u niektórych sędziów, prokuratorów. Wspomnijmy dwa takie przypadki samobójstw prokuratorów wojskowych: mjr. Antoniego Trelli w 1947 r. i ppłk. Henryka Podlaskiego w 1956 r. Oba przypadki trudno byłoby jednak uznać za formę oporu wobec wykonywanej pracy. Raczej za dramatyczny epilog wewnętrznych przemyśleń. Nieznane mi są przypadki dezercji lub odmów wykonywania zawodu. Pamiętajmy, że w powojennych realiach straszliwie zniszczonego kraju bycie prawnikiem oznaczało przynależność do elity. W ślad za tym nie szły co prawda ogromne pieniądze, wille, samochody, był to jednak zawód pozwalający na utrzymanie pewnego, dość wysokiego standardu życia. Nie chciałbym jednak teraz specjalnie rozwijać tego wątku.

B.P. – **Dlaczego?**

K.S. – Mówienie o tym teraz może tworzyć wrażenie, że dokonujemy próby wytłumaczenia całego komunistycznego środowiska sędziowsko-prokuratorckiego. Doszukiwać się wśród nich ofiar systemu. Pokazanie pojedynczych przykładów ludzi w mundurach, decydujących się na jakiś krok sprzeciwu, w żadnym razie nie może rzutować na negatywny wizerunek tego środowiska. Myślę, że najpierw powinniśmy powiedzieć znacznie więcej na temat roli, jaką odegrali ci ludzie. Być może pokusić się nawet o pewną próbę oceny ich poczynań. Wydaje mi się, że dopiero potem będzie właściwy czas na rozwinięcie przerwane wątku. Wspomnieliśmy, że mówienie o tym, iż stalinowscy sędziowie byli niewykształceni, ale za to ideowi, jest nieprawdą.

B.P. – **Kto zatem wydawał wyroki śmierci?**

K.S. – Blisko 70 proc. wyroków śmierci wydanych w powojennej Polsce zapadło do 1948 r. W tym czasie ogromna większość sędziów i prokuratorów wojskowych, nie tylko wojskowych, to przedwojenni absolwenci wspomnianych już przeze mnie polskich uczelni. Badając strukturę tych kadr, zauważyłem wcale niemałą liczbę ludzi, którzy okres okupacji spędzili w szeregach Armii Krajowej. Wśród nich znajdują się również tacy, których sumienie obarczone jest orzeczeniem kilkunastu, czasami nawet kilkudziesięciu wyroków śmierci, między innymi Mieczysław Widaj, Wiktor Leszek, Władysław Garnowski, Jan Hryckowian, Jerzy Tramer, Tadeusz Lercel, Wilhelm Bigda, Zygmunt Bukowiński. Dotychczas odnalazłem również siedmiu absolwentów wydziału prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Poza pojedynczymi przypadkami nie potrafiłbym dziś wskazać ludzi, którzy orzekali przed 1948 r., i nie byli przedwojennymi absolwentami polskich uczelni. Pomijam tutaj oficerów delegowanych do Polski z armii radzieckiej. Sytuacja zmieniła się w 1948 r. gdy „władza ludowa” zaczęła tworzyć nowy model kształcenia kadr prawniczych, chcąc w szybkim czasie wykształcić własne, pozbawione „burżuazyjnych naleciałości”.

B.P. – Ale przecież są ci dyspozycyjni, wykształceni prawnicy.

K.S. – To jest pewien paradoks. Sędziowie, prokuratorzy, którzy odgrywali tak ogromnie ważną rolę dla partii, wydają ogromną liczbę wyroków śmierci, jednocześnie przez swoich zwierzchników, aparat polityczny i aparat bezpieczeństwa traktowani byli w niezwykle podejrzliwy sposób. Od początku gromadzono materiały na ich temat, badano bardzo dokładnie ich przeszłość. I ciągle im nie ufano...

B.P. – Bo przeszłość dla aparatu bezpieczeństwa w ogóle jest czymś paskudnym.

K.S. – Poprzez swoją „sanacyjną przeszłość”, jak to często określano, sędziowie ci byli w pewien sposób zakładnikami własnego życiorysu, własnej historii.

B.P. – Bardziej chyba zawodu niż życiorysu.

K.S. – Te związki są często trudne do rozdzielenia. Mogło im się wydawać, że orzekając surowe wyroki zgodnie z zasadami ludowej praworządności, oddalają od siebie widmo podejrzeń o nielojalność, która mogła oznaczać utratę stanowiska i więzienie. Dlatego mogli – nie twierdząc, że zawsze tak było – starać się przez cały czas wyjątkowo gorliwie pracować, aby dobrze wypaść w ocenach swoich przełożonych. Czas płynął jednak nieubłaganie i tego, co komuniści akceptowali zaraz po wojnie, po 1948 r. nie musieli już tolerować. Po likwidacji podziemia zbrojnego i politycznego przyszedł czas na kolejne działania wzmacniające





świeżo wprowadzony model ustrojowy, w tym i na decyzje dotyczące kadr „aparatu sprawiedliwości”. Starych prawników zastępowali ludzie najczęściej bardzo młodzi, niewykształceni, absolwenci kilku- i kilkumiesięcznych kursów prawniczych, między innymi Szkoły Ministerstwa Sprawiedliwości im. Teodora Duracza czy Oficerskiej Szkoły Prawniczej.

B.P. – Kto się tam dostawał?

K.S. – Chciano, żeby byli to ludzie głównie o pochodzeniu robotniczym i aktywiści partyjni koniecznie popierani przez młodzieżowe organizacje polityczne albo PPR. Chodziło o to, aby tego młodego człowieka, przyszłego prawnika całkowicie związać z nowym ustrojem. I to się nowej władzy ludowej udało. Ci ludzie bowiem zawdzięczali władzy ludowej wszystko. Nagle odnosili w życiu sukces niemożliwy do spełnienia w innych warunkach politycznych. Często było tak, że po szkole powszechnej albo po szkole zawodowej zostawali oficerami. Proszę sobie wyobrazić młodego, dwudziestoletniego, dwudziestodwuletniego człowieka, świeżo po awansie na pierwszy stopień oficerski, z głową nabitą frazesami o rzekomym zagrożeniu wewnętrznym, o zaostrażającej się walce klasowej i konieczności wykazywania pryncypialnej postawy w walce z wrogiem... Z dnia na dzień ten człowiek stawał się kimś bardzo ważnym, decydującym o czyimś życiu lub śmierci.

J.Ż. – Do 1948 r. sędzią mógł być teoretycznie tylko przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, który miał między innymi doświadczenie sędziowskie lub wyższe wykształcenie bądź tytuł profesorski. To było obwarowane szczegółowymi przepisami, sięgającymi okresu II Rzeczypospolitej i teoretycznie obowiązującymi po wojnie, jak *Prawo o ustroju sądów wojskowych* z 1936 r. Cóż z tego, skoro już w 1944 r. w prawie o prokuraturze i sądach wojskowych podważono tę zasadę, stwierdzając nieprecyzyjnie, że „sędzią wojskowym może być oficer, który posiada wykształcenie prawnicze”. Gdy powstała szkoła Duracza i inne, zajmujące się przyspieszonym szkoleniem przyszłych sędziów, regulacja prawna znów się zmieniła, dostosowując literę prawa do praktycznych potrzeb. Również regulamin przyjmowania do tej szkoły był specyficzny; przyjmowano nawet osoby, które nie miały matury. I to oczywiście spowodowało, że jakość tego sądownictwa była coraz niższa. I jeszcze jedna sprawa – prawdą jest, że do 1948 r. zapadło przed sądami wojskowymi, nie tylko WSR, bez mała trzy czwarte z ogólnej liczby 5 tys. wyroków śmierci wydanych w latach 1944–1945. W latach pięćdziesiątych wyroków śmierci jest zdecydowanie mniej, ale bardzo często stosowane są wyroki 15 lat pozbawienia wolności. Z punktu widzenia potrzeb rewolucyjnego państwa skuteczność sądów jest zatem porównywalna. Zdecydowanie więcej jest rozpraw, które odbywają się z naruszeniem podstawowych proceduralnych czynności. Przykładem jest sprawa Franciszka B., oskarżonego w jednym z wielu procesów dotyczących tak zwanej V Komendy WiN-u, kontrolo-

wanej od początku przez MBP (tak zwana operacja „Cezary”). Prowadzącym sprawę był dwudziestokilkuletni wówczas Stefan Michnik. Z punktu widzenia proceduralnego rozprawę prowadzono fatalnie. Sądu nie interesował w ogóle fakt prowokacji dokonanej przez UB. Mimo że oskarżony cierpiał na zaburzenia psychiczne wywołane metodami śledztwa (siedział w areszcie WUBP w Rzeszowie), nie została powołana żadna komisja lekarska, która miałaby zbadać zasadność sądzenia tego człowieka. I wydano wyrok śmierci. Dodatkowo tragedia Franciszka B. polegała na tym – co z całego dostępnego materiału wynikało niezbicie – że oskarżony wszedł do siatki konspiracyjnej dzięki usilnym namowom prowokatora podstawionego przez resort bezpieczeństwa i cała jego działalność „szpiegowska” była kontrolowana przez ten resort. Suwerenny sędzia musiałby to odkryć. Sposób przeprowadzenia tej sprawy wynikał z jednej strony z pełnej dyspozycyjności sędziego podlanej sosem rewolucyjnego zacietrzewienia, a z drugiej strony z pojawienia się w sądownictwie wojskowym oficerów, którzy uwierzyli w słuszność zawołania: „nie matura, lecz chęć szczerą...”. Jednak nie zmniejsza to odpowiedzialności młodego sędziego za zniszczenie życia konkretnemu człowiekowi. Szczęściem w nieszczęściu było uchylene tego wyroku przez wyższe instancje, wbrew sugestiom przewodniczącego składu sędziowskiego WSR.

Inny przykład (to jedna z ostatnich spraw przed WSR, w której zapadł wyrok śmierci). Oskarżony o szpiegostwo Sz. utrzymywał, że nie jest obywatelem państwa polskiego, lecz obywatelem Stanów Zjednoczonych, i prosił o możliwość kontaktu z ambasadą. Faktycznie w ogóle nie wzięto pod uwagę tej informacji, gdyż, rzecz jasna, sąd nie zamierzał zwracać się do ambasady USA o jej potwierdzenie. Na marginesie warto dodać, że w tym wypadku krąg współwinnych jego śmierci był dużo szerszy. Oskarżony trafił bowiem na obserwację psychiatryczną, gdzie prowadzący go lekarze wystawili opinię o podsądnym. Znalazła się w niej informacja o (prawdziwej lub rzekomej) symulacji choroby, co pozwoliło sądowi skazać Sz. na śmierć. Wyrok wykonano w 1955 r.

Przed 1948 r. z punktu widzenia czysto formalnego większość spraw była prowadzona na dobrym poziomie. Na tym zresztą – jeśli dobrze rozumiem prof. Witolda Kuleszę – polega trudność w rozliczaniu tego aparatu sądowego ze zbrodni, bo niewątpliwie były to zbrodnie sądowe. Oskarżeni działali na rzecz niepodległości państwa polskiego. Sędzia w składanej przysiędze zobowiązywał się natomiast, że będzie bronić Polski Ludowej i jej zdobyczy socjalistycznych. Dzisiaj powoływanie się na tę przysięgę ma pomóc w udowodnieniu czyjejś niewinności. Ale ja nie widzę różnicy między na przykład Mieczysławem Widajem a wspomnianym Michnikiem. Mieczysław Widaj był przedstawicielem tego środowiska, o którym mówił Krzysztof Szwagrzyk – akowiec i wykształcony przedwojenny prawnik, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie – po wojnie w sposób obrzydliwy stosował prawo, skazując patriotów polskich na karę śmierci.



K.S. – Dodajmy może jeszcze w tym miejscu, że aż do 1949 r. rota przysięgi kończyła się słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”. Szczególnie groteskowo brzmiało to w ustach w większości przecież niewierzących prawników.

Cechą charakterystyczną pierwszych lat tak zwanej władzy ludowej jest stały wzrost liczby wykrywanych „wrogów ustroju”. Dokumenty, które posiadamy, świadczą o tym, że sądownictwo wojskowe w tamtych latach można – wydaje mi się, że zasadnie – porównać do kombinatów, gdzie najważniejsza jest liczba wyprodukowanych towarów, w tym przypadku liczba skazanych. Wspomnijmy o licznych sesjach wyjazdowych odbywających się często publicznie, w środku wsi. Znamy przypadki sędziów, którzy jednego dnia uczestniczyli w trzech procesach. Fakt ten nie mógł pozostać bez wpływu na ich kondycję fizyczną, a co ważniejsze, psychiczną. Jeżeli dodamy do tego konieczność uczestniczenia przez kadrę „wymiaru sprawiedliwości” we wszelkiego rodzaju szkoleniach, nasiadówkach, prasówkach, czynach społecznych itd., jawi nam się obraz tego środowiska odbiegający od powszechnie utartych stereotypów.

B.P. – Poświęćmy trochę miejsca obrońcom. Jaka była rola obrońców wojskowych w Polsce?

K.S. – Mówiąc krótko – żadna. O wpisaniu na listę obrońców wojskowych decydowały władze w Warszawie i władze wojskowe. Taka osoba musiała rozumieć nową rolę obrońcy w Polsce. Jeśli prześledzimy życiorysy tych ludzi, widać, jak wielu z nich należało do przedwojennych kręgów lewicowych. Ci, którzy byli adwokatami po 1948 r., często wcześniej byli sędziami i prokuratorami wojskowymi. Przykłady: Jerzy Tramer, Waclaw Pietroń, Florian Kirschke, Aleksander Warecki, Józef Warecki, Tadeusz Lercel, Wilhelm Bigda, Włodzimierz Ostapowicz, Stefan Kałużny, Władysław Łukasik, Edward Kotkowski, Waclaw Bohatyrewicz, Stanisław Holltscher, Tytus Bohaczek, Stanisław Mercik, Eugeniusz Pinkosz, Julian Nytko, Władysław Patrynowicz, Roman Rawicz, Robert Ritkis, Władysław Nitka, Zygmunt Skoczek, Bolesław Kardasz, Bolesław Głodek, Roman Milewski, Eugeniusz Krzewski, Marian Krupski, Marek Szauber, Leon Kaczyński, Waclaw Lange, Jerzy Tinne, Albin Znamirowski i wielu, wielu innych. Ci ludzie doskonale wiedzieli, jaka jest rola obrońcy wojskowego. Kiedy pytamy ludzi skazanych w tamtych latach, jak wspominają obrońców, najczęściej wruszają ramionami, na ogół nie mogą ich sobie przypomnieć. Jeśli pamiętają, to odpowiedź na pytanie o rolę adwokata w stalinowskim procesie najczęściej brzmi – albo spał, albo nic nie mówił, a na koniec prosił o łagodny wyrok. Ale byli również i tacy, którzy w swoich wystąpieniach zamiast bronić, oskarżali swojego klienta. Niezjący już największy znawca wojskowego wymiaru sprawiedliwości, prof. Jerzy Poksiński, w swojej książce *My sędziowie nie od Boga...* przedstawił nam niezwykle ciekawy dokument zawierający protokół narady partyjnej aktywu partyjnego Najwyższego Sądu Wojskowego z listopada

WOJSKOWY SĄD GARNIZONOWY
W WARSZAWIE

PROTOKÓŁ
wykonania kary śmierci

Warszawa, dnia 2 sierpnia 1957.

..... *sędzi* Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warsza-
wie *Kpt. Budzik Eugeniusz* w wykonaniu prawomocnego wyroku
Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia *15 marca 1956.*
Nr Sr *394/56* zatwierdzonego postanowieniem Najwyższego
Sądu Wojskowego z dnia *6 maja 1956.* Nr Sm. Odw. S
131/56 i wobec nieskorzystania z łaski przez
Radę Państwa P.R.L. - na zasadzie art. 315 KWPK zgłosił się do
Więzienia Warszawa I w Mokotowie i o godz. *18⁰⁰*
dnia *2 sierpnia 1956* w obecności:

- 1/ Naczelnika Więzienia *Kurajnickiego Tadeusz*
- 2/ Prokuratora *Kpt. Radwan Marian*
- 3/ Lekarza *Moskalewicz Antoni*

za pośrednictwem dowódcy plutonu egzekucyjnego *Kojnicz Antoni*
po odczytaniu wyroku Nr Sr *394/56* skazanemu
Szymczak Marian
i po stwierdzeniu prawomocności tego wyroku oraz oświadczeniu,
że Rada Państwa P.R.L. z prawa łaski nie skorzystała - zarządził
wykonanie powyższego wyroku względem *Szymczak Mariana*
Marian Szymczak
przez rozstrzelanie.

Zgon *Szymczak Mariana* stwierdzony
został przez lekarza o godz. *19⁰⁰* dn. *2 sierpnia 1956*

- Sędzia *Antoni*
- Prokurator *Radwan Marian*
- Lekarz *Moskalewicz Antoni*
- Naczelnik Więzienia *Kurajnicki Tadeusz*
- D-ca Plut. egzekucyjnego *Kojnicz Antoni*



Marian Szymczak (ur. 1920) skazany za szpiegostwo na rzecz wywiadu emigracyjnego rządu polskiego i USA

1956 r. Major Widaj zapytany o opinię, powiedział, że on i jego koledzy wierzyli, że są na pierwszej linii walki z wrogiem politycznym, do dzisiaj w to wierzą (był 1956 r.). W umysłach tych ludzi niewiele się zmieniło. Teraz toczą się, wprawdzie pojedyncze, procesy przeciwko sędziom i prokuratorom wojskowym. Miałem możliwość przysłuchiwania się takiemu procesowi. Sędzia wojskowy okresu stalinowskiego mówił podobnie jak wszyscy inni, którzy występują przed sądami III RP. Żaden z nich nie ma sobie absolutnie nic do zarzucenia. Każdy twierdził, że był profesjonalistą i to wysokiej klasy, orzekał zgodnie z ówczesnym prawem, a wyroki przez niego wydane są prawomocne do dziś.

We Wrocławiu mieliśmy sędziego o nazwisku Tadeusz Piasecki. Uczestniczył w wielu procesach politycznych, w których skazywał członków dolnośląskich organizacji niepodległościowych, w tym księdza rzymskokatolickiego. Dlaczego o nim mówię? Dlatego, że zawsze, kiedy zapadały wyroki śmierci, składał *votum separatum* na piśmie. W opinii o skazanym sporządzonym do NSW sędziowie wypowiadali się, czy są za karą śmierci, czy nie.

B.P. – Czym było *votum separatum*?

K.S. – W tym przypadku pisemnym wyrażeniem sprzeciwu, własnego zdania. To oznacza, że nawet w takich specyficznych warunkach, w jakich przyszło mu pracować, gdy chodziło o życie ludzkie, sędzia miał możliwość wyrażenia własnego sprzeciwu.

B.P. – Dlaczego tak niewielu z niego skorzystało?

K.S. – W moim przekonaniu ogromna liczba tych ludzi, którzy pracowali w sądownictwie i prokuraturze, była ludźmi słabego charakteru, żądnymi władzy i awansów, jakie władza ludowa ofiarowywała im za dyspozycyjność. Dzisiaj sędziowie i prokuratorzy wojskowi często piszą odwołania od decyzji pozbawiających ich uprawnień kombatanckich. Uważają, że nie mogą odpowiadać za spełnianie swoich obowiązków w ramach służby. Absolutnie się z tym nie zgadzam. Nie mówiąc już o tym, że każdy z nich miał możliwość, wprawdzie niewielką, zachować człowieczeństwo, nawet w tamtych strukturach i tamtych czasach.

B.P. – Uważa się, że aby być sędzią lub prokuratorem, trzeba mieć określone predyspozycje.

K.S. – Okazuje się, że ostatni z tych ludzi przestał pracować w wymiarze sprawiedliwości już w III Rzeczypospolitej na początku lat dziewięćdziesiątych. Myślę, że nie ma sensu podawać teraz konkretnych przykładów. Począwszy od stalinizmu przez stan wojenny ci ludzie tworzyli wymiar sprawiedliwości.

J.Ż. – Wróć jeszcze do kadry adwokackiej. Po 1956 r. w jej składzie znalazło się wielu ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy poprzednio sprawowali inne funkcje w aparacie sprawiedliwości. W latach sześćdziesiątych Służba Bezpieczeństwa inwigilowała ich i zaczęła zdejmować z różnych ważnych stanowisk, w tym w adwokaturach. Cała ta akcja została wpisana w antysemickie wyczyny grupy moczarowskiej w PZPR, co spowodowało, że niegdysiejsi oprawcy sami stali się ofiarami i zapominano im winy sprzed 1956 r.

K.S. – Jeszcze o odpowiedzialności karnej pracowników aparatu sądowniczego. Trzeba wiedzieć, że kilku przynajmniej sędziów, prokuratorów wojskowych sądy wojskowe w latach 1944–1956 skazały na różne kary, w tym na karę śmierci. W systemie ścisłej podległości wojskowej, gdy ludzie dowiadawali się, że jakiś inny sędzia został skazany i otrzymał wyrok, to albo ich to dodatkowo mobilizowało do bardziej wydajnej pracy, albo łamało. W okresie tym aresztowano i następnie skazano: prokuratora Czesława Szpądrońskiego, byłego szefa WSR w Krakowie, ppłk. Antoniego Łukasika, ale także sędziów: Atanazego Zduna, Włodzimierza Łabatego, Witolda Kłobukowskiego czy Tadeusza Lercela – sędziego, akowca, który w swojej karierze wydał ponad czterdzieści wyroków śmierci, aresztowanego w 1949 r. i skazanego.

B.P. – Za co był sądzony i jaki otrzymał wyrok?

K.S. – W 1947 r., kiedy był sędzią we Wrocławiu, toczyły się procesy przeciwko członkom lokalnej organizacji podziemnej Inspektorat Afryka. Dowódca tej organizacji w tym czasie ukrywał się w mieszkaniu Lercela. Za to dostał wyrok 5 lat pozbawienia wolności, z których odsiedział chyba trzy lata.

B.P. – To rzeczywiście ciężki zarzut.

K.S. – Sądzone go za znajomych z AK. Razem działali na Lwowszczyźnie. Kiedy sędzia wychodził z domu, zostawiał akta sprawy Inspektoratu Afryka na stole. To niezwykła sytuacja, myślę, że jedyna w skali całego kraju, kiedy dowódca organizacji czyta w mieszkaniu sędziego akta sprawy, w której, gdyby został schwytany, byłby głównym oskarżonym.

Zarzuty wobec sędziów skazywanych w tym okresie były różnego rodzaju – współpraca z podziemiem, sprawy typowo kryminalne, na przykład szabrownictwo. Pułkownik Łukasik był skazany za to, że negatywnie wypowiadał się o osobach narodowości żydowskiej w sądownictwie, prokuraturze wojskowej.

B.P. – Zapewne były to procesy pokazowe dla całego środowiska prawniczego.





K.S. – Może nie w dosłownym sensie, ale tak. Tego typu wydarzenia stanowią treść szkoleń i partyjnych narad w środowisku.

B.P. – Czy można podsumować liczbę wyroków śmierci wydanych do 1955 r.?

K.S. – Do niedawna jeszcze podawano konkretne liczby ludzi skazanych na karę śmierci. To jest jednak, jak się okazało, ogromnie złożona sprawa, podobnie jak próba określenia, ilu mieliśmy więźniów politycznych w Polsce. Dotąd mówiono, że w Polsce skazano na karę śmierci 2,5 tys. osób. Prof. Poksiński uważał, że na karę śmierci skazano 4,5 tys. osób z tego 70 proc. wyroków zostało wykonanych. Z kolei na podstawie dokumentacji, która do 1989 r. była przechowywana w Głównym Zarządzie Więziennictwa w Warszawie, wiadomo, że skazano 400–800 osób. Najnowsze wyniki badań historyków IPN określają tę liczbę na poziomie około 5 tys.

B.P. – To znaczne rozbieżności...

K.S. – Okazuje się, że na razie nie da się powiedzieć, ile orzeczono wyroków śmierci i ile ich wykonano w Polsce, bez względu na to, czy mówimy o procesach politycznych, czy o kryminalnych. Odpowiedzi poznamy dopiero wtedy, kiedy będziemy potrafili zanalizować działalność poszczególnych struktur sądownictwa w Polsce, nie tylko wojskowego. Proszę zwrócić uwagę na to, jak bardzo rozbudowany był to system – mamy sądownictwo wojskowe, w tym sądy armii, korpusów, dywizji, mamy Wojskowe Sądy Rejonowe, wojskowe sądy okręgowe. Jest sądownictwo powszechne – sąd apelacyjny, okręgowe, wojewódzkie. Sądy okręgowe również wydawały wyroki śmierci. Istniały jeszcze Specjalne Sądy Karne oraz tak zwane wydziały do spraw doraźnych sądów okręgowych. W 1946 r., jak widać, funkcjonował po prostu kombinat do wydawania wyroków śmierci. Na Białostocczyźnie sędziowie jeździli od wioski do wioski, wyrok zapadał na miejscu, a rozstrzelanie odbywało się za stodołą, na oczach zgromadzonej wcześniej ludności. Wydawałoby się, że są to obrazki wzięte z czasów rewolucji 1917 r. w Rosji Sowieckiej, tymczasem mówimy o Polsce powojennej.

Gdy powstał IPN, ze względu na specjalną rolę WSR zaczęliśmy naszą pracę od tych właśnie sądów. Dopóki nie zbadamy orzecznictwa sądów powszechnych, dopóty nie będziemy mogli z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że w Polsce wydano 5 tys., a nie na przykład 7 tys. wyroków śmierci. Na obecnym etapie badań uznajemy, że była to liczba nie mniejsza niż 5 tys., traktując to bardziej jak punkt wyjścia niż próbę bilansu całościowego.

J.Ż. – Jeśli chodzi o liczenie ofiar, to pamiętajmy, że nie ma faktycznie różnicy między morderstwem w śledztwie, skrytym morderstwem w wię-

zieniu po wyroku, na przykład wobec płk. Wacława Lipińskiego we Wronkach, a wyrokiem orzeczonym w „procesie kiblowym”, zakończonym (zdarzało się, że przed upłynięciem terminu odwoławczego) strzałem w tył głowy na schodkach więzienia mokotowskiego. Zwłoki Stanisława Kasznicy, Franciszka Krawczykowskiego, Lecha Neymana i wielu, wielu innych grzebano potajemnie pod murem cmentarza na warszawskim Służewie czy też na Bródnie, gdzie odkryto pochówki pod zainstalowanymi w tym miejscu publicznymi szaletami. Z obliczeń prowadzonych w latach 1989–1990 na podstawie zachowanych statystyk wynika, że karę śmierci wykonano po procesach sądowych wobec około 2,5 tys. skazanych. Ofiary policzono metodą trochę odwrotną od tej, którą myśmy przyjęli, rozpoczynając badania nad WSR. Wtedy posługiwano się statystyką, którą wykonywały na bieżąco instytucje sądowo-prokuratorskie, sąd wojskowy, a także kancelaria prezydenta, gdyż miał on prawo ułaskawienia. To były sumaryczne dane, które dodawano w odpowiedni sposób. Z innych badań wynika ponadto, że w różnego typu więzieniach, w tym w obozach pracy w Polsce, zmarło lub zginęło po wojnie do 1956 r. w sumie ponad 20 tys. osób. Oczywiście osobną kategorię stanowią ofiary NKWD wywożone w głąb Rosji od 1944 r.

B.P. – Jak można je zweryfikować?

J.Ż. – Metodą oddolną, rozpoczynając od spraw sądowych, to znaczy należy rozpatrywać wszystkie sprawy sądowe po kolei i w ten sposób orzekać, ile osób zostało w ogóle skazanych na karę śmierci, ile spośród tych wyroków wykonano, ile orzeczono kar z powodów politycznych, ile z kryminalnych. Są też skazani na karę śmierci Ukraińcy czy członkowie autentycznego podziemia hitlerowskiego. Nie mówiliśmy o tym, ale wtedy również orzecznictwo wobec kryminalistów było dużo surowsze niż w normalnych warunkach, czyli w praworządnym państwie.

Przy okazji badania akt WSR wychodzą bardzo interesujące materiały pokazujące zachowania skazanych w czasie ciężkiego śledztwa, konfrontację z ówczesnym sądownictwem. Oni często próbowali ratować swoje życie, podejmując już na poziomie śledztwa grę z oficerami śledczymi z MBP. Jedna i druga strona próbowała się dowiedzieć o strukturze i działaniu danej organizacji czy środowiska. Strona śledcza chciała dowiedzieć się jak najwięcej o tym środowisku, człowiek poddawany śledztwu chciał się zorientować, ile śledczy wie i rozumie, ile można powiedzieć bez dekonspirowania swych przyjaciół, bez innych skutków ubocznych. Tak toczyła się owa gra między śledczymi, którzy się pastwią, a maltretowanymi ludźmi, którzy próbują nie tracić kontroli nad rzeczywistością, nad tym, co mówią. Jednocześnie bardzo rzadko się zdarzało, żeby w ogóle aresztowani odmawiali zeznań, by ignorowali fakt, że stoją przed obliczem „prawa”. Widać w tym nie tylko sposób na ratowanie życia, ale także wiarę, że gdzieś między śledczym a szafotem, na tej ciernistej drodze, jest jakaś sprawiedliwość.



Akta spraw z lat 1946–1955 rozpatrywanych przez WSR zawierają masę ciekawych informacji historycznych na temat działalności AK w czasie wojny, funkcjonowania NSZ, struktur, konkretnych ludzi. Jest to także kopalnia wiadomości na temat systemu represji w PRL – od momentu aresztowania, przeprowadzenia rewizji po wyrok skazujący i – w wypadku kary pozbawienia wolności – akta więzienne, dokumenty zwolnienia i czasami ewentualnej dalszej inwigilacji.

B.P. – Działalność wymiaru sprawiedliwości okresu stalinowskiego była podporządkowana podwójnej pragmatyce. Bez wątplenia chodziło o wyeliminowanie wroga, ale był to także sposób tworzenia atmosfery terroru wobec społeczeństwa. Wiele procesów było nagłaśnianych i dlatego też zapadły te bardzo wysokie i często zupełnie nieadekwatne do przewinień wyroki. Po zapadnięciu wyroku śmierci skazany miał jeszcze szansę na utaskawienie, choć w niektórych sprawach wyrok wykonywano natychmiast, ale były też takie, w których więźniowie czekali na egzekucję miesiącami. Czy to zróżnicowanie charakteryzowało jakieś szczególne okresy w działalności sądów?

K.S. – Na pewno liczba wyroków wykonanych w stosunku do orzeczonych inaczej wyglądała w 1945 r., inaczej w 1947 czy 1951 r. Spokojnie jednak możemy przyjąć, na to są dokumenty, że około 60 proc. wyroków orzeczonych zostało w Polsce wykonanych. Profesor Poksiński twierdził, że jest to 70 proc. Myślę, że nieco mniej, ale z pewnością jednak powyżej 50 proc.

B.P. – Zapada wyrok śmierci. Co dzieje się dalej ze skazanym, gdy wyrok nie jest wykonany natychmiast?

K.S. – Bywało, że ludzie spędzali dwa lata w celi śmierci, na ogół jednak to był okres 90–120 dni. Wtedy zapadała decyzja o skorzystaniu lub nie z prawa łaski przysługującego prezydentowi i Radzie Państwa.

B.P. – Gdzie przebywali ludzie czekający na akt łaski?

K.S. – Na Mokotowie, w Warszawie, ludzie z wyrokiem śmierci przebywali w zbiorowej celi śmierci. We Wrocławiu po wyroku umieszczano ich w izolatkach, gdzie nie dało się wyprostować rąk, była to cela o wymiarach półtora metra na cztery kroki, z przytwierdzoną do ściany pryczą, rozkładaną na noc, zakratowanym oknem, stolikiem, taborettem, wiadrem, czyli tak zwanym kibelem, i stale palącą się żarówką. Straż więzienna musiała czuwać, by skazany nie popełnił samobójstwa.

Z relacji czekających na decyzję o utaskawieniu dowiadujemy się o ich przeżyciach – czas płynął tak, że nie wiedzieli, kiedy jest noc, kiedy

jest dzień, każde skrzyknięcie butów na korytarzu oznaczało dodatkowe drżenie i bicie serca. Czy to już egzekucja, czy może jeszcze spacer albo wizyta klawisza w celach porządkowych? Myślę, że nikt, kto nie przeszedł tego rodzaju udręki, nie jest nawet w stanie sobie wyobrazić przeżyć człowieka skazanego na karę śmierci, który przez kilkadziesiąt dni przebywa w takiej atmosferze. W przypadku ułaskawienia, więzień był przenoszony do celi zbiorowej, najczęściej również do innego więzienia. Jeżeli nie było ułaskawienia, rozpoczynała się procedura związana z egzekucją. Z reguły pozwalano więźniom na napisanie, chociaż nie w każdym przypadku, listu pożegnalnego. W 1995 r. otwierałem zalakowane koperty, gdzie były listy pożegnalne osób skazanych na śmierć, napisane w latach czterdziestych, dodajmy, listy nigdy nie wysłane.

B.P. – Na kim spoczywał obowiązek wystania listu?

K.S. – Na prokuratorze wojskowym. Te listy były w jego aktach podręcznych w tej samej przegródce co protokół wykonania kary śmierci.

B.P. – Najtrudniejsze pytanie w tej rozmowie – jak wyglądała egzekucja?

K.S. – Przepisy mówiły o dwóch rodzajach wykonania egzekucji – przez rozstrzelanie i przez powieszenie w stosunku do osób skazanych przez sądy powszechne. W przypadku powieszenia przepisy mówiły, że jeżeli były jakieś wątpliwości co do tego, czy śmierć nastąpiła, kat powinien podejść, pociągnąć ciało, wykonać gwałtowny zwrot w celu przerwania kręgow szyjnych. Chodziło o pewność. Jeżeli chodzi o rozstrzelanie, było różnie. Zachował się dokument z 1946 r., pismo naczelnego prokuratora sądu wojskowego płk. Henryka Holdera, który stwierdza: „dochodzą mnie informacje o nieprzepisowym wykonaniu egzekucji, strzałem w kark, gdzieś na stopniach piwnicy, itd.” Holder było osobą bardzo dobrze poinformowaną. Dla nas jest to bardzo wiarygodny dokument potwierdzający, że przez wiele lat po wojnie egzekucje wykonywano w sposób sowiecki, katyński, strzałem w tył głowy, gdzieś na schodach, gdzieś w piwnicy. Nie było więc całego ceremoniału, który komuniści sami przecież stworzyli. Jeżeli była wątpliwość, czy człowiek żyje, przepisy mówiły, że na dowódcy plutonu egzekucyjnego spoczywał obowiązek dobitcia strzałem w skroń. Mamy w naszych dokumentach makabryczne opisy egzekucji, między innymi relacje ks. Jana Skiby, więziennego kapelana we Wrocławiu. Niestety, jest ich bardzo niewiele.

B.P. – Dlaczego?

K.S. – Dlatego, że żaden prokurator, klawisz, naczelnik więzienia, lekarz asystujący przy egzekucji z oczywistych powodów nie będzie wspominał,



jak uczestniczył przy egzekucji; mógł to uczynić tylko ksiądz. Ksiądz Skiba już nie żyje. Jest też relacja ks. Mariana Prusaka w sprawie Danuty Siedzikówny „Inki”.

J.Ż. – Zachowała się jeszcze relacja ks. Hieronima Lewandowskiego na temat wykonywania wyroków śmierci przez niejakiego Młynarka, szefa arestetu w Poznaniu. Tenże wyprowadzał więźnia poza obręb miasta w asyście prokuratora, strażników i kapłana, i tam w lesie, na przykład rozmawiając z nim, nagle strzelał prosto w twarz.

Chciałbym jeszcze wrócić do celi śmierci. Atmosferę w celi śmierci charakteryzowało powstrzymanie się skazanych od emocji, od gestów zdradzających słabość; obowiązywała pełna mobilizacja i męstwo. Co pomagało w utrzymaniu się w „pionie”?

Charakterystyczna cecha przeżyć w celi śmierci to wzrost religijności. Na ten temat już wiele powiedziano, są związane z tym wiersze, istnieją wspomnienia o utajnionym przebiegu Bożego Narodzenia czy świąt Wielkanocnych w celi więziennej. To podtrzymywało ducha, trwanie w wewnętrznej wolności. Posiadamy relację Hieronima Wysockiego, który do dziś jest przekonany, że właśnie wówczas w celi śmierci objawiła mu się Matka Boska, i roztoczyła nad nim opiekę w tych trudnych miesiącach. Proszę sobie wyobrazić 90 dni oczekiwania, kiedy nie można dokonać żadnych zmian w życiu. Albo wszystko przegrane, albo nie. Wzrost religijności, szukanie opieki u Stwórcy pomaga przeżyć ten trudny okres. Pan Hieronim opowiadał mi o spotkaniu z Matką Boską; po czterdziestu latach pamiętał każdą sekundę i szczególnie tego wydarzenia. Następnie przeżył śmierć pozorowaną. Był młodym człowiekiem i nie znał procedur wykonywania kary śmierci, bo w końcu na ogół tylko raz uczestniczył w takim wydarzeniu. Przyszli po niego, jeden przedstawił się, że jest prokuratorem, powiedzieli, że zostanie wykonany na nim wyrok kary śmierci, zawiązali mu oczy, wyprowadzili. Znieśli go po schodach, postawili – to była dla niego taka minuta życia na krawędzi – potem wrócili z nim do celi, zdjęli opaskę i powiedzieli, że dzisiaj egzekucji nie będzie. Nie zatamował się.

B.P. – To był rodzaj zabawy?

J.Ż. – Tak, to był rodzaj zabawy. Opowiadał mi, że przeżył to w miarę spokojnie, bo Matka Boska powiedziała mu, iż będzie uratowany. Został utaskawiony, żyje do dziś. Opowiadam o tych dwóch sprawach, o potrzebie kontaktu z Bogiem i mobilizacji moralnej ludzi z celi śmierci, bo istnieją na ten temat różne przekazy, w tym krzywdzące wspaniałych ludzi.

Takie przypadki jak opisane przez ks. Lewandowskiego czy Hieronima Wysockiego zdarzały się, ale nie przeczytamy o nich w dokumentach z teczek więźnia, gdzie w biurokratycznym porządku są umieszczone in-

Warszawa 2.8.1955

Dziedko i ciocia Kochanie!

Wie fajnie mi długo o was i waszemu długo, - widać, że
nie mogę. Za jej zgodą i z jej pomocą, w końcu udało
się napisać - i w końcu starannie pisać. Kochanie, nie
chcę, żebyś się wściekała i żebyś przestała mi ufać i nie
wspierałaś, że tak naprawdę jest. Długo mi, -
miałam tak naprawdę odjeżdżać z tego świata, uwaga, że
byłbym bardzo mocno przywiązany do was, do
wieloletniego i niezłomnego czasu i czasu i czasu, że
wtedy. Jeżeli kiedykolwiek wyjdziecie z domu, -
uwaga, że nie - to bardzo proszę o pomoc. -
to by było by bardzo mocno o to proszę!

Wszystkie szczegóły i szczegóły pod swoim adresem, by
wtedy, onegdaj i w końcu. Jeździec, który
w końcu nie wyjdzie - jestem kompletnie
nieświadomy. Proszę powiedzieć, że ciemność
i ciemność, którą proszę powiedzieć, że ciemność
moja była najbardziej i najbardziej, które w końcu
i w końcu - adresem i adresem, proszę to zrobić
znowu i znowu. Wiecie, że to byłoby naprawdę
proszę, żebyście o to się nie dążyli. Proszę raz
w końcu i w końcu i w końcu.

Wasz syn

Marian.

List do rodziców pisany przez Mariana Szymczaka
na chwilę przed jego egzekucją - zapieczętowany, przeleżał prawie pół wieku w wojskowym
archiwum; adresatów nie odnaleziono



formacje bardzo lakoniczne: że nie skorzystano z prawa łaski, że plutonem egzekucyjnym dowodził ten i ten, i że w obecności prokuratora, kaptana, lekarza i naczelnika więzienia został wykonany wyrok przez rozstrzelanie.

Lektura listów, które znajdują się w aktach, również jest wstrząsająca. Znana jest między innymi korespondencja Łukasza Ciepłińskiego, przekazana rodzinie w formie grypsu. Pisze do żony i swego malutkiego dziecka, że będzie zabity za ojczyznę. Jest świadom, że do rodziny może dotrzeć inna wersja wypadków i nie dość, że zginie dla ojczyzny, to zostanie pośmiertnie poharńbiony. W aktach WSR kryje się wiele tragedii, między innymi czytamy ostatnie listy kierowane do rodzin, które nigdy nie trafiły do adresatów. Żona, matka, dziecko – najbliższym nie dano poznać prawdy o człowieku, którego kochali. Również przedśmiertny list wspomnianego przeze mnie skazanego za szpiegostwo Sz., jednego z ostatnich skazanych na karę śmierci przez WSR w Warszawie, nie dotarł do rodziny, pozostał w zalakowanej kopercie. Sz. był skazano za szpiegostwo na rzecz Niemców. Było to straszne oskarżenie, biorąc pod uwagę powojenny czas. Pisze do swej matki, aby pamiętała, że niezależnie od tego, co będą o nim mówić, on służył swojej ojczyźnie, tak jak umiał.

B.P. – Ponowię swoje pytanie o ułaskawienia. Czy na ułaskawienie wpływały kaprys polityka, nacisk na niego czy jakieś inne okoliczności?

K.S. – Prostej odpowiedzi na takie pytanie nie ma. Posłużmy się przykładem. W latach czterdziestych mieliśmy procesy czterech kolejnych zarządów głównych WiN, w których zapadały wyroki śmierci. Dziś raczej się domyślamy, niż wiemy, dlaczego wobec jednych stosowano prawo łaski, a innym odmawiano tego prawa. Twierdzę, że ułaskawienie było ściśle związane z aktualną potrzebą polityczną.

B.P. – I propagandową.

K.S. – Tak, istotne było także to, czy jakiś proces można było wykorzystać propagandowo, czy też nie.

J.Ż. – Po wyroku skład sędziowski, który wyrok orzekał, miał zadanie napisać, najczęściej odręcznie, jaka jest opinia sądu na temat ewentualnego ułaskawienia. W niektórych przypadkach w tych notatkach znajduje się pewna logiczna wskazówka co do intencji ówczesnego wymiaru „niesprawiedliwości”. Jeśli ktoś był dowódcą, to powinno się wobec niego utrzymać wyrok śmierci, ponieważ nie dość, że działał niezgodnie z prawem, niszczył państwo ludowe, to jeszcze wychowywał w nienawiści do ludowego państwa podwładnych. Istniała zatem pewna teoretyczna podbudowa ideologiczna danej decyzji. Podobnie było na przykład

w dodatkowych opiniach, kierowanych przez skład sędziowski lub prokuraturę i MBP, na prośbę prezydenta, gdy on sam nie był do końca przekonany. W praktyce jednak wszelkie teoretyczne czy też rewolucyjne uzasadnienia, dla których jedni mieli stracić życie, a inni je zachować, upadały w konfrontacji z ostatecznym werdyktem Bieruta.

B.P. – Pewnie zacząć należy od tego, że często prośby o ułaskawienie nie docierały do adresatów.

J.Ż. – To jest osobny problem. Ale była taka sprawa Mirosława Ostromięckiego, który został skazany na karę śmierci i bardzo długo nie wiedział o tym, że prezydent skorzystał z prawa łaski. W jego opisie ten czas oczekiwania trwał bardzo długo, a w konfrontacji z dokumentami widać, że przetrzymywano tę informację, ponieważ Ostromięcki był potrzebny jako świadek do kolejnych procesów, więc chciano go dodatkowo rozmiękczyć. Faktem jest, że pod wpływem listu – interwencji kardynała Adama Sapiehy – Bierut zamienił dość szybko karę śmierci na 15 lat pozbawienia wolności. Widocznie uznał, a był to rok 1947, że warto skorzystać z prawa łaski i zyskać w osobie kardynała wdzięcznego dłużnika. Rozmowanie Bieruta, który decydował o wielu aspektach życia publicznego, mogło mieć bardzo różnorodne podłoże. Czasem wygrywał pragmatyzm, na przykład w przypadku pewnej kobiety, która miała być skazana na karę śmierci, w początkach 1946 r. Bierut wówczas uznał, że niewskazane jest, by jedną z pierwszych osób skazanych na karę śmierci przez WSR była kobieta. Warto może podkreślić, że z punktu widzenia samych skazanych na karę śmierci logika władz była bardzo czytelna – przywódców zabijano, ułaskawiano szeregowych żołnierzy, to miało być regułą. Ale to jest bardzo subiektywne odczucie. Oni oczywiście mają prawo do własnej pamięci i przekonania, ale rzeczywistość była znacznie bardziej skomplikowana. Bierut mógł korzystać z prawa łaski, ale jednocześnie był dysponentem bardzo wielu innych projektów politycznych, do których łaska pasowała lub nie. Było to też wykorzystywane do celów propagandowych. Otrzymywał masę listów od członków rodzin skazanych, wśród których, czemu trudno się oczywiście dziwić, przeważają listy zatytułowane „Wielki Ojciec” – od żon, dzieci, rodziców. Praworządność komunistyczna – czyli wewnętrzna sprzeczność – pomagała Bierutowi w budowaniu swojego obrazu „małego Stalina” i „sprawiedliwego gospodarza” w Polsce.

K.S. – Aby jeszcze bardziej skomplikować ten problem, musimy wspomnieć o kancelarii prawnej Bieruta, gdzie sztab ludzi przygotowywał dla niego korespondencję, robiąc między innymi różne zakreślenia w tekście, krótkie wypisy...

B.P. – W takich sytuacjach ważna jest nawet odpowiednia kolejność podsuwanych dokumentów.



K.S. – W kancelarii pracowali zwyczajni ludzie, mający z takimi wyrokami do czynienia na co dzień. Wystarczyło podkreślić jedno zdanie, które nie było najważniejsze, albo pominąć to najważniejsze. Warto o tym pamiętać.

J.Ż. – Pamiętajmy też, że w państwie totalitarnym ważną rolę odgrywał czasem przypadek. Znam zapis z posiedzenia Biura Politycznego, gdzie omawiano kwestię wyroków śmierci. To są bardzo dramatyczne zapisy, pokazujące obrzydliwość tych ludzi, na przykład wobec bardzo znanej postaci orzeciono, że jeżeli okaże się, iż jest on dyspozycyjny przy innych procesach, to można skorzystać z prawa łaski, jeżeli zaś nie, to należy przerwać jego życie – bezużyteczne z punktu widzenia władz. Wiemy, że w tym wypadku z prawa łaski skorzystano. Szukanie jednoznacznego i stałego porządku jest daremne.

K.S. – Czasami sędziowie motywowali konieczność wykonania wyroku śmierci również rzekomym nasileniem działalności antykomunistycznej na danym terenie. To oznaczało, że w celu prewencji ogólnej należałoby zastosować straszk w postaci egzekucji. Tak więc nie konkretny czyn człowieka decydował o jego ukaraniu, w każdym razie nie tylko czyn. Powiedzmy również o spotkaniach szefów WSR z pierwszymi sekretarzami komitetów wojewódzkich. To jest rzecz, o której się raczej nie mówi. Wydaje mi się, że rozpatrując działalność sądownictwa wojskowego, prokuratury wojskowej w Polsce, wydawanych przez nie wyroków śmierci czy spraw politycznych, musimy brać pod uwagę zależności tych organów od partii. Inaczej nie bardzo będzie wiadomo, o czym mówimy. Te organy nie powstały same dla siebie, ale po to, żeby zapewnić możliwość realizacji dyktatury proletariatu. One tę dyktaturę realizowały. Nie ma możliwości, aby ktoś był szefem czy zastępcą szefa sądu wojskowego, jeżeli wcześniej nie było zgody organizacji partyjnej. Wcześniej mógł być nawet akowcem, nie musiał być partyjny, ale musiał realizować politykę zgodną z oczekiwaniami partii.

J.Ż. – Odpowiedni przepis prawny w 1946 r. uchylił zobowiązanie, że sędziowie nie mogą być członkami partii, utrzymujące się od czasów II Rzeczypospolitej, co legalizowało jedynie stan faktyczny.

K.S. – W książce *Zbrodnie w majestacie prawa* w kilku miejscach prezentuję pisma z wydziału kadr Komitetu Wojewódzkiego i z Komitetu Centralnego. Są to zgody wydziałów kadr poszczególnych KW lub KC PZPR na obsadzenie kierowniczych stanowisk w sądach i prokuraturach. Brak zgody powodował, że ktoś nie mógł objąć takiego stanowiska.

Chciałbym raz jeszcze powrócić do kierowniczych stanowisk w sądownictwie i prokuraturze. Wystarczyło mieć pełną kontrolę nad szefami w poszczególnych sądach po to, żeby mieć całkowitą pewność co do tego, że polityka karna będzie realizowana zgodnie z oczekiwaniami

partii. Dzisiaj ktoś może powiedzieć – no dobrze, było sądownictwo wojskowe i ono robiło to, co do sądów należało. To jest nieprawda, ono realizowało politykę partii. Dzisiaj, kiedy mówimy o sędziach i prokuratorach wojskowych, nie zwalniając oczywiście ich od jednostkowej odpowiedzialności, powinniśmy pamiętać jednocześnie o odpowiedzialności ludzi, którzy pełniąc funkcje partyjne, byli ich zwierzchnikami czy wręcz zleceńodawcami.

B.P. – To właśnie nazywa się sprawstwem kierowniczym.

K.S. – Szkoda, że nie wszyscy tak myślą.

J.Ż. – Mam jedną uwagę do tego, co mówisz wcześniej, bo nie bardzo się z tobą zgadzam. Słusznie powiedziałeś, że okres 1944–1956 należy wyizolować z całego kontekstu PRL. Ale każde bodaj stwierdzenie syntetyzujące epokę ma swoje daleko idące odstępstwa od reguły. Przykładem potwierdzającym jest choćby historia WSR, które zostały w 1955 r. rozwiązane, sprawy w toku przerzucono do sądów powszechnych, jeśli dotyczyły osób cywilnych, natomiast do sądów wojskowych skierowano sprawy obejmujące „mundurowych”. Z perspektywy więźnia względna „odwilż” rozpoczęła się już w 1954 r.; poprawiła się jakość pożywienia, więcej paczek dochodziło do adresata, służba więzienna przestawała pełnić funkcje kolejnego ogniwa terroru. Od 1955 r., a szczególnie po amnestii z 1956 r., ludzie zaczęli wracać do domu. Rozpoczął się proces rozliczania za „błędy i wypaczenia” – tak eufemistycznie nazywano zbrodnie. Z drugiej strony, co widziałem na przykładach kilkunastu spraw, w sądownictwie i w całym systemie penitencjarnym nastąpiła kontynuacja epoki stalinowskiej po 1956 r. Nieprawdą jest, że wszyscy więźniowie polityczni wyszli w 1956 r. Oni wychodzili także w następnych latach – w 1957, a nawet jesienią 1958 r.; ponadto dziesiątki osób pozostało w więzieniach, przede wszystkim ci, którzy byli oskarżeni i skazani na początku lat pięćdziesiątych za szpiegostwo. Adam Boryczko, działacz niepodległościowy i emisariusz władz polskich na uchodźstwie, skazany w 1954 r. na dożywocie, wyszedł na wolność w 1969 r. Działo się tak dlatego, że w orzecznictwie po 1956 r. niektóre czyny nadal były traktowane jako czyny zbrodnicze, na szkodę państwa polskiego.

Druga kwestia, dużo bardziej skomplikowana, ale trzeba by się nią zająć historycznie – to pytanie, w jakiej mierze i z jakich przyczyn w latach sześćdziesiątych próbowano podtrzymywać wyroki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych wobec ludzi, którzy starali się bądź o zatarcie wyroku, bądź o jego unieważnienie. Znam kilka takich przypadków, w których okazuje się, że sąd w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych podtrzymywał wyroki z lat czterdziestych i uwiarygodniał je w ten sposób, przykładem jest sprawa Bolestawa H. i innych. Sąd dawał wiarę



dokumentom okresu stalinowskiego, a nie zeznaniom świadków i człowieka próbującego się – jego zdaniem – oczyścić z zarzutów, do których się przyznał pod wpływem tortur. Może to być traktowane jako pewnego rodzaju odstępstwo od reguły, bo bardzo wiele osób w 1957 r. zostało zrehabilitowanych w ramach odwilży popaździernikowej, ale nie jest do końca jasne, które sprawy zostały wyłączone z określenia „błędy i wypaczenia”. Najtrudniej, jak się wydaje, było oczyścić się z zarzutów z dekretu sierpniowego z 1944 r. Trzeba jednak pamiętać, że szczególnie od 1949 r. oskarżenia z dekretu sierpniowego, na przykład dotyczące kolaboracji z Niemcami czy też rzekomego zabójstwa Żyda w czasie wojny, służyły skompromitowaniu struktur i ludzi polskiego państwa podziemnego czy NSZ (NZW); czasem (jak w przypadku rotmistrza Witolda Pileckiego czy działacza Organizacji Polskiej Edwarda Kemnitza) oskarżenie z tego dekretu było wkomponowane w inne zarzuty, a podsądny był skazywany za całokształt swojej „zbrodniczej działalności”, czyli faktycznie za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, jak określa to ustawa o kombatanach z 1991 r. W aktach byłej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu znalazłem ponad 100 spraw z dekretu z 31 sierpnia 1944 r., w których skazano działaczy niepodległościowych, w tym żołnierzy AK, NSZ i BCh. Wydaje mi się, że po 1956 r. istniała pewna kategoria czynów, która – mimo niewiarygodności sądów okresu stalinowskiego – nie mieściła się w formule błędów i wypaczeń tego systemu. Oczywiście nie są to sprawy łatwe; po wojnie sądzono także osoby, które naprawdę donosiły na gestapo na ludzi przechowywujących Żydów, czy też na samych ściganych; sądzono aktorów kolaborujących z teatrami niemieckimi i dziennikarzy piszących do „gadziniówek”. Jednakże nie można powiedzieć, że w 1956 r. zamknął się definitywnie pewien typ „sądownictwa rewolucyjnego”. Przetwał on nie tylko na poziomie skutków, ale także w biografii sędziowskich. Ponadto po 1956 r. SB bardzo często inwigilowała byłych skazanych na karę śmierci, a także innych więźniów okresu stalinowskiego. Przykładowo, już pod koniec 1956 r. założono sprawę operacyjną na „figuranta” Wiesława Chrzanowskiego, oskarżanego (sic!) przez SB o kontakty z prymasem Polski i wrogi stosunek do ustroju socjalistycznego, w tym kontestowanie ustawy o przerywaniu ciąży.

K.S. – Mówiąc o tym, że przełom 1955–1956 jest pewną cezurą, myślę tylko i wyłącznie o skali represji. Masz rację, ludzie, którzy wcześniej pracowali w sądownictwie, potem stali się adwokatami, sędziami, prokuratorami. Jednym słowem, działali w tym samym państwie, a zmiany miały charakter kosmetyczny.

O tym, jak trudno nam dziś zerwać z balastem nawyków z poprzedniego ustroju, niech świadczą wyroki z lat dziewięćdziesiątych unieważniające procesy sprzed półwiecza. Myślę o takich sytuacjach, kiedy sąd orzekając, że ktoś działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskie-

go, zaraz potem cytuje, w nawiasach albo bez, słowo w słowo fragmenty wyroku stalinowskiego sądu, typu „zastrzelił funkcjonariusza urzędu bezpieczeństwa”. Znam osoby, które płakały po odczytaniu czegoś takiego. Pytały: co z tym zrobić? Jak to pokazać dziecku czy wnukowi? Cóż to za nieważnienie, jeżeli piszą, że mój mąż „ukradł”, „zastrzelił”, „uciekł”?

W naszej rozmowie uciekł nam jeden bardzo ważny wątek. Nie powiedzieliśmy o miejscach spoczynku, pochówku ofiar terroru komunistycznego.

B.P. – Myślę, że jest to dobry temat na osobny numer „Biuletynu”.



Krzysztof Szwagrzyk – historyk, doktor nauk humanistycznych, zajmuje się komunistycznym aparatem represji, głównie działalnością sądownictwa i prokuratury. Autor między innymi, *Winnych? – Niewinnych?*, *Zbrodnie w majestacie prawa*, *Straconych na Dolnym Śląsku*. Naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu.



Jan Żaryn – dr historii, nauczyciel, wykładowca akademicki, publicysta. Absolwent IH UW, adiunkt IH PAN, pracownik BEP IPN w Warszawie. Autor syntez i monografii z historii najnowszej, a także ponad stu artykułów naukowych i popularnonaukowych. Autor książek: *Kościół a władza w Polsce 1945–1950*, *Stolica Apostolska wobec Polski i Polaków 1945–1958*, *Leszek Prorok – człowiek i twórca*, *Polska 1918–1998 – od niepodległości do teraźniejszości*. Współautor: *Głębokie, Polskie dzieje od czasów najdawniejszych do współczesności*, *1956 – Emigracja a kraj*.

Do październikowego (21/202) numeru „Biuletynu IPN” wkradł się drobny, ale przykry błąd. Na str. 70 w trzecim wierszu powinien zniknąć cudzysłów zamykający zdanie, zaś cytat należy zakończyć po słowach: „...patriotyzmu młodego pokolenia” (wiersz ósmy od dołu); kolejne zdanie jest już oryginalnym tworem skruszonych autorów.

